

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

William Bright
Michał Choromański
Wacław Grubiński
Jan Lechoń
Stefan P. Mierzwa

Vcl. 3. Nr. 25 (130) Nowy Jork, 24go czerwca — New York, 21, N. Y., June 24th, 1945.

Cena 20 ct.



Ś. P. JULJUSZ KADEN BANDROWSKI

Bezwarunkowa kapitulacja

Kiedy parę dni temu pan Hopkins, doradca prezydenta Roosevelta i czynny uczestnik wszystkich układów z Rosją, przyznających jej wszystko czego chciała — powrócił ze swej wizyty w Moskwie — ogłoszone zostało, że Rosja, idąc wyraźnie na zgodną i ścisłą współpracę z Aljantami ustąpiła dla pięknych oczu pana Hopkinsa w sprawie, w której była najbardziej nieugięta i, że tak dla opinii amerykańskiej uprzykszony spór polsko-rosyjski jest wreszcie pomyślnie zakończony i zamknięty. W tryumfie i radości, jakie zapanowały z tego powodu nie mogliśmy oczywiście brać udziału. Było bowiem rzeczą jasną, że Stany Zjednoczone, przyjmąwszy układ w Jałcie za swój maksymalny program w sprawie polskiej, nie zerwawszy go jako straszliwej hipoteki co należało i można było uczynić, gdyż Rosja wyraźnie pakt ten pogwałciła — mogły teraz uzyskać od Sowietów tylko pozorne ustępstwa, tylko odstąpienie od żądań, które wysuwane były jako manewr taktyczny, jako dymna zasłona, maskująca prawdę, że układ w Jałcie nawet w amerykańskiej i brytyjskiej interpretacji — jest tryumfem Rosji, zagładą Polski i największym zagrożeniem zwycięskiego Zachodu.

Wydawało się nam przecież z drugiej strony jasne, że na to, by pan Hopkins mógł uść za czarodzieja a Stany Zjednoczone za zwycięscę, będzie dana jakaś nieistotna ale efektowna satysfakcja amerykańskiej miłości własnej, że Sowiety uczynią coś co pozwoli rządowi Ameryki wytłumaczyć Izbowi i opinii, że Rosja cofnęła się naprawdę. Uważaliśmy za rzecz pewną, że skoro pan Hopkins ma się za tryumfatora, to musiał uzyskać przynajmniej zwolnienie szesnastu uwięzionych przywódców polskich, co nie powinno było robić Sowietom wielkiej różnicy, gdyż mogły one natychmiast po pogrzebaniu Polski według jałtańskiego ceremonjału znów uwolnionych uwięzić i wtedy już stracić ich wśród grobowego milczenia świata.

I oto okazuje się, że to, co okrzyczano za zwycięstwo Ameryki, za dowód dobrej woli Rosji, za początek prawdziwej z nią współpracy — jest po prostu najhaniebniejszą klęską, jaką Stany Zjednoczone ponieść mogły, jest największym tryumfem Sowietów, które, przekonane, że Ameryka nigdy nie zdobędzie się na opór — postanowiły drwić sobie z niej w żywe oczy i robić zawsze i wszędzie co im się podoba.

To, że pp. Kerr i Harriman zasiadają do wspólnego stołu z panem Mołotowem, aby radzić z nim razem jak pogrzebać Polskę, nie robiąc przytem zbyt wielkiego hałasu, to że rząd państwa, które pierwsze, do ostanka i wśród największych ofiar walczyło z Niemcami, ma być tworzony przez obcych, wbrew prawdziwej woli Polaków — to samo jest

już bezprawiem, niepamiętnem w nowożytnej historii, jest przekreśleniem wszystkich kart Atlantyckich, jest końcem prawa międzynarodowego, tryumfem totalizmu, tem samem akurat co robił Hitler.

To przecież, że w miesiąc zaledwie od chwili, gdy panowie Eden i Stetinius zerwali rozmowy z panem Mołotowem, który ich najordynarniej oszukał i okłamał, ambasadorzy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji wznawiają te rozmowy i to w dniu, w którym Sowiety mówią wyraźnie, że niczego nie ustąpią, to że Ameryka coś się w sprawie polskiej tego samego dnia, w którym rozpoczyna się potworny proces, wyzywający Boga i ludzkość, hańbiący zwycięstwo — to już jest nie tylko klęską wszystkiego co godziwe ale co dla polityków ważniejsze, jest to bezwarunkowe poddanie się Stanów Zjednoczonych, jest to już nie Monachjum, ale Waterloo i Sedan Ameryki.

Tego poddania się nie może zrozumieć nikt przy zdrowych zmysłach, nikt kto choćby w kinie oglądał obrazy zwycięstwa na Pacyfiku i podziwiał z nich potęgę wojskową nieznaną w dziejach i zdolną nakazać dla siebie posłuch przez sam fakt swego istnienia. Tej niepojętej kapitulacji nie rozumieją ci również, którzy znają istotną strategiczną wartość zwycięstwa rosyjskiego i prawdę o dzisiejszej sile Sowietów.

Ci, którzy uważali, że Rosję można zmusić do ustępstw w sprawie polskiej, którzy byli zdania, że pan Hopkins powinien był żądać wyjścia wojsk rosyjskich z Polski, uznanie prawdziwego rządu polskiego i dokonania w Polsce prawdziwych wyborów nie myśleli bynajmniej, że nato, aby te ustępstwa uzyskać — generał Eisenhower byłby musiał iść na Moskwę a lotnicy amerykańscy musieliby bombardować "Krasnuju Płoszczad." Przekonani byli oni przeciwnie, że twarda obrona Polski przez Amerykę jest najpewniejszym sposobem uniknięcia wojny, która stanie się właśnie nieunikniona nie z powodu wprowadzie, ale na skutek zagłady Polski.

Cała nieprawdopodobna polityka Stanów Zjednoczonych wobec Rosji, polityka dla której poświęcono tyle pięknych tradycji tego kraju, zlekceważono cierpienia tylu milionów nieszczęśliwych, poświęcenie tylu bohaterów, dla której złamano tyle traktatów i tyle najświętszych przyrzeczeń — oparta była na prawdziwej obsesji grożącego rosyjsko-niemieckiego przymierza, będącego istotnie śmiertelnym niebezpieczeństwem dla Ameryki.

Układ, który pp. Kerr i Harriman szykują się teraz podpisać w Moskwie, zarówno przez treść, która jest pogrzebaniem Polski jak też przez warunki haniebne, w jakich się go gotuje — jest poło-

zeniem kamienia węgielnego pod zlanie się Niemiec z Rosją, które tylko na trupie Polski mogły się połączyć.

Panu Hopkinsowi, tym, którzy tryumfują z powodu rzekomego jego tryumfu, tym wszystkim, którzy zamknęwszy niegodnie oczy na niewolę i cierpienia milionów śnią z niepojętą beztrąską, że uratowali Amerykę, życie własne i swych dzieci, a którzy w gruncie rzeczy gotują wojnę, zdolną naprawdę cały świat zamienić w kupę gruzów, możemy powiedzieć teraz to właśnie, co kiedyś poeta francuski powiedział swemu, nieczułemu na zagładę Polski narodowi: "Vous avez voulu voir Les Russes? Ils viendront".

Pozostaje jeszcze jedno o czym Polakowi trudno przychodzi pomyśleć i w co ledwie może uwierzyć. Negocjacje dziś prowadzone w Moskwie, których jedyną konsekwencją może być ustalenie się niewoli rosyjskiej w Polsce i zamknięcie ust tym, którzy wołają o tej zbrodni — nigdy nie mogłyby

dojść do skutku gdyby nie znaleźli się Polacy wolni, niezagrożeni, obiecujący, że na te układy przystaną i wezmą za nie odpowiedzialność. Pp. Mikołajczyk i Stańczyk pojechali do Moskwy aby położyć polski podpis pod zaborem polskiej ziemi, pod oddaniem jej w niewolę, — co gorsza pojechali w warunkach, które ich zgodę na pakt jałtański uczynią też ich podpisem pod wyrokiem śmierci na przywódców Polski Podziemnej. Wy tłumaczenie ich czynu zawiera się w granicach pomiędzy najstraszliwszym oskarżeniem, jakie państwo może postawić swemu obywatelowi a przypuszczeniem takiego bezrozumu, że staje się rzeczą niepojętą, iż ludzie nim dotknięci mogli piastować poważne urzędy i przemawiać w imieniu wielkiego narodu.

Nie wybieramy żadnego z tych tłumaczeń. Z jakichkolwiek działań pobudek ludzie ci nigdy i niczem nie okupią zbrodni wobec Polski, jakiej się dziś dopuszczają.



KAZIMIERZ PUŻAK

prezes Rady Jedności Narodowej w kraju, jeden z najwybitniejszych przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej, bohater walk wolnościowych w 1905, więziony przez 10 lat przez carat rosyjski, obecnie uwięziony, spotwarzony przez bolszewików i zagrożony śmiercią.

*

* * *

Proces przywódców Polski Podziemnej rozpoczęty właśnie w Moskwie jest jedną z najstraszliwszych zbrodni jakich Sowiety dopuścili się kiedykolwiek jest wyzwaniem rzuconem całemu światu wolności. Proces ten jest to potwarz rzucona na naród, który prowadził walkę z Niemcami najbardziej bohaterską, przez żaden inny niezrównaną.

Sądzeni dziś w Moskwie przywódcy polscy są jednymi z najczystszych bohaterów tej wojny. Wszyscy ludzie wolni w świecie, jeśli chcą uratować wolność muszą założyć protest najsilniejszy przeciw tej niebywałej zbrodni.

JAN LECHOŃ

K A D E N

Juljusz Kaden-Bandrowski zginął wśród dwustu tysięcy padłych w czasie powstania warszawskiego; jak kiedyś zaczynał swe publiczne życie w porywie pospólnym, w szeregu legjonowym tak też odszedł po żołniersku, wśród wielkiej narodowej burzy.

W tym zbiegu przypadków nietrudno by znaleźć symbol jego życia i twórczości. Kaden bowiem, do krańców indywidualista w swej sztuce, buntujący się w niej przeciw wszelkim klasycznym więzom, przedstawiał od pierwszych swych prac po ostatnie nietylko nieustanną ciekawość rzeczy społecznych, ruchów masowych, ale i związek głęboki z niemi, najżywsze uczestnictwo myślą i sercem w narodowych wzburzeniach i przemianach.

Twórczość jego, nigdy nie wyszła z ciężkich artystycznych przeciwieństw, przez które wydobyć się nie mogły i wyrzucić dość jasno jego zamysły, przez to też w wielu utworach — własność tylko jednego pokolenia, co uznało styl Kadena za styl swego czasu, twórczość ta, tak nadająca się do dyskusji i tak też dyskutowana — nazawsze zachowa przeciwieństwo w historii naszego piśmiennictwa swe miejsce poczesne jako dokument literacki wielkich chwil przełomowych jako świadectwo nietylko ich obserwatora ale i uczestnika.

Twórczości tej, dziś zakończonej a raczej dalekiej od końca a tragicznie przerwanej — można już, niestety stawiać nagrobek, można ją podsumować, określić, kładąc krzyż na tem, co mógł jeszcze prozie polskiej dać ten pisarz o pasjach tak niezwykłych, ostrości widzenia tak wyjątkowej, zrozumieniu człowieka i spraw ogólnych tak głębokiem, doprowadzony wreszcie przez tragiczną prostotę zdarzeń do doskonałego, klasycznego wyrazu.

Ten nagrobek, który wznosimy mu teraz myślą pełną melancholji i wzruszenia, pamięcią naprawdę przyjacielską, uczuciem pełnem wspomnień o chwilach błahych i ważnych, przeżytych wśród wspólnych zachwyków i ożywych sporów — nagrobek ów nie musi być, aby oddać co należy Kademu ślepo chwalczy i kłamliwy; Kaden był zjawiskiem tak ważnem że wystarcza powiedzieć całą o nim prawdę, aby go uczcić.

Spór, który Juljusz Kaden-Bandrowski wiódł całe swe życie o to, co było dla niego bodaj najważniejsze, o wartość odkrywczą i trwałą swoich metod artystycznych, o to co potocznie nazywało się prozą kadenow-

ską a nawet kadenizmem, spór najpierw ze starszemi od siebie a później i z niepamiętnymi i niewdzięcznymi uczniami — nie został przez Kadena nigdy wygrany i trudno przypuścić, aby przyszłość powróciła do niego i miała w nim Kademu przyznać reję.

Wszedłszy do naszej powieści po wielkim w niej okresie Żeromskiego, z odrazu gotowym zdobywczym zamysłem stworzenia rzeczy nowych i własnych — skupił się odrazu Kaden na wysiłku formalnym, który w jego mniemaniu miał otworzyć perspektywy nieznanne, stając się źródłem nowych emocji, wyzwoleniem myśli i wyobraźni.

Idąc za skłonnościami swego talentu, ale i za obcą, wtedy modną doktryną, znaczną część swego artystycznego trudu kładł odtąd w szukaniu metafory najbardziej nieoczekiwanej, asocjacji najbardziej dalekich, w czem dopatrzyć się było łatwo zbieżności z ówczesnemi przemianami malarstwa i muzyki. Było w Kadenu tyle mocy, tyle oryginalności widzenia i uczucia, tyle nieraz w jego karkołomnych skrótach stylistycznych — trafności, że czytelnik, nawet przywiązany do tradycji, szedł przez te gęszcze stylu z uczuciem pracy, dobrze nagrodzonej. Młodzi, żądni nowinek zakrzyknęli o epokowym przełomie, o śmierci dawnej prozy; Kaden stał się też na jakiś czas wodzem i sztandarem kierunku.

Nietylko my to dziś widzimy, ale dobrze przed wojną stawało się to już ogólnym poglądem, że Kaden wytoczoną przez siebie bataliję wyraźnie przegrywa. Nowe pojawiające się powieści jak cykl Marji Dąbrowskiej, o ileż mniej ważny społecznie niż potężne freski Kadena — powitane zostały nieomal z uczuciem ulgi przez tych, którzy jakże jeszcze niedawno sztychali z prozy Prusa i Orzeszkowej, a którzy teraz w równych i starannych zdaniach "Nocy i dni" odnajdywali urok tych właśnie pisarzy, zaledwie, że wzbogacony muzycznym czarem Żeromskiego.

Kaden, choć świadomie przeciwstawił się Żeromskiemu i miał się za zupełnego nowatora, poszedł właśnie w swym stylu do ostatnich granic rewolucji, którą rozpoczął Żeromski, liryzując prozę polską i dając w niej tak wielkie miejsce wartościom muzycznym.

Wysnuwszy z tego stylu i z manji słowotwórczej Berenta ostateczne konsekwencje, zaszedł Kaden w ślepy zaufek metafory tak wysiłonej,

TYGODNIK POLSKI

is

PUBLISHED WEEKLY

by

TYGODNIK POLSKI

at

806 Lexington Avenue

New York 21, N. Y.

Tel. Regent 7-4168

Editor:

Jan Lechoń

Subscription

Monthly 30 cents

Half yearly \$4.80

Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

takiego wymuszenia słownego, że droga stąd była już tylko do zupełnego logicznego rozprzężenia prozy: Marja Dąbrowska odniosła huczny tryumf, dlatego, że zrozumiała to niebezpieczeństwo i pierwsza wróciła na dawne, utarte ale i niezawodne drogi.

Jakieś powiedzieli wielkie wartości powieści Kadena, zamknięte są przeważnie w hieroglifach jego stylu, dziś już niezawsze czytelnich. Tem niemniej wartości te są niewątpliwe i Kaden, jeśli by miał nawet być zczasem czytany tylko przez smakoszy i badaczy — pozostanie na zawsze w historii prozy polskiej naczelną i przywódczą postacią okresu między dwoma wojnami.

Powiedzieć bowiem można dziś właśnie, gdy zarówno ten okres jak i twórczość Kadena są skończone, że jako śmiałość zamysłów, świadomość społeczna, rozmach twórczy był Kaden przez nikogo niezrównany, był największą indywidualnością i przetrwał wszystkich innych.

Kaden mówił głośno, z naiwną nieskromnością, która tyle mu robiła wrogów, że będzie tem dla swego okresu czem był Żeromski w poprzednim.

Jeśli nie przemówił tak głęboko jak Żeromski do naszych uczuć, jeśli nie porwał tak jak on lirycznym patosem, jeśli nie stał się ideowym przodownikiem, to przecież powieści jego były potężnym obrazem naszej rzeczywistości, trafieniem w najistotniejszą, najgłębszą aktualność wyraziły jak żadne inne namiętności, nadzieje i złudzenia czasu.

Było to właściwie to, o co chodziło Kademu. Chciał on być Żeromskim swego czasu, ale nie zgodziłby się nie poświęcić dlatego ze swej drażliwości, ze swego brutalnego wi-

dzenia prawdy, ze swego bezideowego podziwu dla biologii życia.

Kaden chciał, aby go kochano, ale chciał, aby ta miłość była odpłatą za twórczość, która służyła samej sobie.

Czciciel Flauberta, powracający bez końca do jego "Bouvard et Pecuchet" uważał Kaden sam trud pisarski, samo, powiedzmy, mistrzjum pisania — za najzaszczytniejszą służbę.

Postawiwszy sobie za program — wyrazić współczesną mu naszą rzeczywistość, oddać swem słowem krążenie krwi w organizmie stojącego się państwa — dzięki swej inteligencji wyjątkowej, dzięki wrodzonemu zmysłowi polityki — zdołał Kaden ukazać nam splot tysięcy przeciwności tam, gdzie niewtajemniczeni widzieli tylko najgrubsze i najszlachetniejsze sprzeczności; "Generał Barcz", "Lenora", "Tadeusz" i niektóre stronic "Mateusza Bigdy" były prawdziwym zdarciem maski z naszego życia i odkryciem prawdziwej polskości rzeczywistości.

Była to oczywiście rzeczywistość jak w każdej wielkiej sztuce zdeformowana. Przez to przecież właśnie potworne wyolbrzymienie kształtów, natężenie pasji przemówiła cała potęga żywiołu społecznego, którą Kaden chciał wyrazić.

Strzegąc się egzaltacji lirycznej, którą zwalczał w Żeromskim, popadł Kaden w patos namiętności, zmieniający jego prozę na najkpszych stronicach — w wielkie improwizacje poetyckie. W "Mateuszu Bigdzie" gdzie owa namiętność wynaturzała się w nieznośne supły i nowotwory stylowe — jest przecież jedna scena, obiad w Lachowicach, godna jako patos największych polskich arcydzieł wierszem

Ta właśnie przesada pasji i demoniczny zmysł groteski uczyniły z wiclu powieści Kadena właściwie satyry potężne i okrutne, wszystkie też prawie były one w swoim czasie nie tylko wydarzeniami literackimi ale i, jeśli tak można powiedzieć, w najlepszym rodzaju politycznym skandalem.

Jak ścięrały się w nim wciąż myśl chłodna z namiętnym porywem, tak walczył też w Kadencie ów satyryk z lirykiem, wiernym wspomnieniom i przez to niezdolnym tam tej satyry zwrócić gdzie w ostatnich latach należało.

Nie było w tem nic z niskiego przystosowania się do warunków, nie z czołobitności tylko jeszcze jeden paradoks tego tak skłóconego wewnętrznie charakteru. Przy całej swej krnąbrności, przy całej ambicji przodowania, Kaden czuł się całe życie żołnierzem z szeregu swej młodości i zdawało mu się, że jest winien swoim towarzyszom broni — nie uzdrawia-

jącą krytykę tylko koleżeńskie milczenie o ich błędach.

To właśnie rozdwójenie, z najgłośniejszych płynące pobudek zahamowało napewno i spaczyło wkońcu twórczość i prawdziwe powołanie Kadena. Młodzi pisarze i publiczność przywykli że pierwszy uderzał on zawsze w najważniejsze schorzenia naszego życia, stropieni jego milczeniem, przestawali powoli patrzeć na niego, jak na przywódcę. Kaden z kolei odczuł to jako niewdzięczność; jednocześnie szły nowe mody literackie, nawrót do form dawnych, które pogłębiły ten tragiczny rozdzźwięk.

Nie wiemy nic prawie o tem czem było życie Kadena od chwili, gdy został w Warszawie, najpierw broniący się, później niewolnej i męczęńskiej — aż po dzień kiedy zagrzebany został w jej ruinach. Nie wiemy czem była i czy była wogóle jakaś jego w tym czasie twórczość.

Nietrudno jest przecież tym, co go znali, pomyśleć, że był on pierwszy wśród zadumanych tragicznie i pierwszy wśród tych, którzy nie stracili nadziei.

Wiemy, że był też wśród pierwszych w nieszczęściu, przeżył bowiem przed swą śmiercią — śmierć Andrzeja, jednego z ukochanych synów — bliźniaków.

Jak w swych pismach — tak w życiu był Kaden postacią, uderzającą siłą swych cnót i słabości. Jak jego proza — on sam pełen był sprzeczności zamysłu i skutków i przez to przedmiotem najfałszywszych nieraz złudzeń i sądów.

Czynił on wszystko i tak mówił, aby go miano za cynika, rozkocha-

nego w widowisku życia i tą pozą robił sobie uparcie wrogów.

W gruncie rzeczą z tą jego manierą bycia kłócił się liryzm ukryty i naprawdę kiedyś zraniony czy też lękający się zranienia. Kaden był przyjaciółm czułym i wiernym, opiekunem i doradcą młodszych kolegów, był ojcem wzruszająco dbałym i tklwym i w swoich dwóch książkach dla dzieci, najprostszych i bodajże najbardziej czytanych zostawił niezawodne świadectwo swego serca.

Po pracy mozolnej, przypominającej flaubertowskie męki, po wysiłku szukania zdań najtrafniejszych, najlepiej brzmiących kadencji, po takich bohaterstwach, jak nowe zupełnie redakcje dawnych swych powieści zanurzał się Kaden programowo w życiu, dwoił i troił jako dziennikarz, organizator, polityk, działacz miejski, człowiek teatru. To mu dawało znajomość życia, owego tak mu drogiego mechanizmu życia, jakiej nie miał nikt z pisarzy mu współczesnych.

Kaden znał jak nikt pobudki i kulisy, związki rzeczy wielkich z małymi, w tym sensie najbliższy był wśród wszystkich mu współczesnych, swego, to jest balzakowskiego ideału.

Twórczość jego była nierówna, ale nigdy przez zaniedbanie, zawsze przez wielkość zadań, którym chciał sprostać. Był on żołnierzem polskiej sprawy i rozkochanym w walce i wysiłku prawdziwym rycerzem sztuki. Niech deptany dziś wrogą stopą bruk Warszawy, pod którym jest jego mogiła, bruk — symbol wiecznej zmiennego życia — odezwie się mu jaknajrychlej odgłosem kroków powracającej wolności.



Generał Bór i generał T. Pełczyński, szef sztabu A. K.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

NOWE NOCE LISTOPADOWE

SZTUKA W CZTERECH AKTACH (Dokończenie I Aktu)

GÓRSKI, trochę zaskoczony. — Moje? — Opanowawszy się zupełnie — Byłem urzędnikiem w ubezpieczalni. Nie zmobilizowano mnie. A nawet pod kategorię ewakuacyjną nie podpadłem, wie pan, kiedy wszyscy kto mógł, wyjeżdżał.

SWIDRZYŃSKI — O wiem... O wiem... — Oglądając Górskiego od stóp do głowy, a potem patrząc na walizkę. — Dużo rzeczy pan z sobą niema?

GÓRSKI — Ja? Tak! Włożyłem tylko trochę bielizny.

SWIDRZYŃSKI — Nagle, cieniem, krzykliwym głosem, palcem wskazując walizkę. — Gazetka sterczy.

GÓRSKI, pochyliwszy wzrok w kierunku wskazującego palca Swidrzyńskiego, spozstrzega skrawek gazety. — Ah, tak. — Opanowawszy leciutki wstrząs twarzy. — I to niemiecka. Nie miałem w co, musiałem zawiązać w tę parszywą gadzinówkę. Bo mi się podwinęła pod rękę. — Wyzywająco. — Nie mam prawa?

SWIDRZYŃSKI — Ależ oczywiście. Zresztą, nie jest znowu taka parszywa. My nawet dość często czytamy. Są zawsze świeże wiadomości. Trzeba przyznać, redagowna jest bardzo żywo. Mit Fachkenntnis.

GÓRSKI — Ja po niemiecku nie rozumiem.

SWIDRZYŃSKI, z umiechem. — Ah tak? bo napewno pan pochodzi z Kresów? — Górski milczy. Swidrzyński wstając. — Wnuczka pana zaprowadzi, a ja już pójdę. Proszę wybaczyć, że na podłodze, i z oknem wybitym, i że wilgoć, ale u nas — czym chata bogata, tym rada. — Nie podając ręki, idzie ku drzwiom na prawo, ogląda się i stwierdziwszy, że siedzący na kanapie plecami do niego Górski, nie może go zobaczyć, otwiera i głośno zamyka drzwi — nie wychodząc. Potem bezszelestnie stąpając w filcowych pantoflach, wraca i chowa się za pianinem. Teraz dopiero Urszula wstaje również, bierze baranicę i poprzędając Górskiego, z nieznanym spokojem, płynie ku kuchni. Przed progiem przystaje, odwraca się i ponad ramieniem Górskiego, niewzruszona patrzy w stronę pianina. Schowany tam dziadek rozpaczliwie wymachuje rękami, niczym dyrygent nakazujący orkiestrze zdobyć się na jakiś najbardziej patetyczny wysiłek.

URSZULA, spokojnie. — Jestem bardzo zdenerwowana.

GÓRSKI, patrząc na nią spodoba. — Zauważyłem to.

URSZULA, z widocznym niezadowolaniem. — Pan to zauważył?

GÓRSKI — Bo czy posąg może być zdenerwowany?

URSZULA — Jestem kobietą. — Zaskoczony jej nagłym urokiem Górski otwiera usta. — Mam niekiedy inne, lepsze wyczucie niż ma dziadek.

GÓRSKI — Et, dziadek pani, to stary... — nie kończy, wstrzymany nieznacznym ruchem ręki Urszuli.

URSZULA, ważąc każde słowo. — Powiedziałam mu, kiedy pan wszedł.. jeśli to można nazwać wejściem.. że wydał mi się pan człowiekiem uczciwym.

GÓRSKI — To co?

URSZULA — Bo jednak to było wejście uczciwego człowieka.

GÓRSKI, powoli tracąc panowanie nad sobą. — Czy mam pani sam o sobie powiedzieć, że jestem uczciwy? — Przerwa. — Tak! Jestem!.. Pani niekiedy ma taki wzrok... Ja bym chętnie panią zbił za takie oczy!

URSZULA, powoli. — A dlaczego ma pan w walizce niemiecki mundur?

GÓRSKI, zmieszany. — Mundur? Tutaj?... — Coś nim wstrząsa. I oto wybucha w straszliwej pasji gniewu i zmęczenia. — Pani nie śmie tak na mnie patrzeć! u kaduka! — Wali pięścią w stół, a potem zrywa z szyi szalik. — Pani nie ma prawa tak mówić do mnie, kiedy mnie... kiedy mnie... przed kwadrans... duszono!

URSZULA, nie drgnąwszy. — Jak?

GÓRSKI — Pani nie rozumie, jak człowieka można dusić? Za gardło!

URSZULA — Gdzie?

GÓRSKI — Jak! Gdzie! ...Tutaj.. Przed waszym domem...

URSZULA, zwolna opadając na krzesło. — Na miłość boską.

GÓRSKI — Nie przepuszczając, że pani aż tak się tym przejmie!

URSZULA, spokojnie. — Ja się nie tym przejęłam, że pana duszono, ale że pod naszym domem.

GÓRSKI — Ładną ma pani naturę! Wnuczka w dziadka! Niech duszą ludzi, byle nie w pobliżu naszej willi.

URSZULA, jakby w zadumie — Czy ktoś to widział?

GÓRSKI — Mam nadzieję, że nie.

URSZULA — A... dlaczego... on pana nie udusił?

GÓRSKI — Dziękuję! Dlatego, że uderzyłem go w skroń. W ostatniej

chwili. Już mi się gwiazdy sypały przed oczami.

URSZULA, jak zegarynka. — O tak. I on pana puścił.

GÓRSKI — Puścił, ale nie uciekał. — Urszula somnabulicznym ruchem kiwa głową. — Trochę za mocno uderzyłem.

URSZULA, poważnie. — Szwaba nie można uderzyć za mocno.

GÓRSKI — Nie mogłem przecież pozwolić, żeby mnie przeprowadzono zpowrotem, jak barana!

URSZULA — Pan uciekł z Gestapo.

GÓRSKI — Nie z Gestapo! Stamtąd nie miało sensu... Z łaźni!

URSZULA — O tak.

GÓRSKI — O tak, o tak, pani mi działa na nerwy!

URSZULA, nie mrugnawszy. — Trzeba było od razu powiedzieć. Wiem, że z Gestapo prowadzą do łaźni. Oni się boją epidemii. Pan sam?

GÓRSKI — Nie, jeszcze dwóch. Tylko oni gdzie indziej, i ja gdzie indziej. To nie było przypadkowe.

URSZULA — Organizacja?

GÓRSKI — Niech się pani sama domyśli.

URSZULA, po przerwie. — Nie wiem, czy pan może zostać. To bardzo niefortunnie się złożyło, że pan do nas trafił.

GÓRSKI — Zamierzałem z początku do sąsiedniego domu, ale trafił, że nie zdążyłem dobiec.

URSZULA, wskazując w kierunku zabitego dyktami okna. — Tam? Nie, to byłaby jeszcze gorzej, tam mieszka pan Krygier... Jeśli mówię, że nie wiem, czy może pan u nas zostać, to znaczy... że...

GÓRSKI — Dobrze! Tylko gdzie ja pójdę?

URSZULA — Pójść pan też nie może. — Patrzy w stronę pianina. — Trzeba przesiedzieć do świtu w kuchni. Koło okna. Ale z boku. Ja panu pokażę... Jeżeli przyjdą z ulicy dam panu znać. Wyskoczy pan do ogrodu. Ale tylko w ostateczności. Trzeba uważać. Już od kilku dni szpera w naszym ogrodzie jakiś niemiecki żołdak.

GÓRSKI — Widziałem.

URSZULA, ściągając brwi. — Pan go widział? — Powoli odwracając głowę i wskazując walizkę. — To może... to...

GÓRSKI — Nie, to nie on.

URSZULA — Nie on? — Coś potwornego sobie uprzytomniwszy, powstaje z krzesła. — Ale... ale gdzie... go pan zostawił?

GÓRSKI — Właśnie u was w podwórku. Musiałem go przecież gdzieś wciągnąć.

URSZULA — U nas? Wielki Boże! Przecież tamten żołdak zaraz go może zobaczyć!

GÓRSKI — Wątpię. Położyłem go między grządkami i przykryłem jakąś deską. Zdaję się, że to był kawałek złamanych drzwi.

URSZULA, głucha. — Był.

GÓRSKI — Myślałem ukryć się w ogrodzie... Byłem taki zziąpany, że już mi się niczego nie chciało. przykucnąłem pod płotem, a tu nagle przypomniałem sobie: a walizka! A walizka z którą on szedł? przecież została w środku chodnika!.. Wybiegam po nią, wracam, a w ogrodzie ktoś się szweda... Cofnąłem się na ulicę, patrzę, w stronę placu idzie patrol!.. Myślałem — koniec!

URSZULA — O tak...

GÓRSKI — Wlałem na ganek i zacząłem skrobać. Przecież głośno pukać nie mogłem. Całe szczęście, że pani zdążyła mi otworzyć.

URSZULA, spokojnie. — Jestem bardzo zdenerwowana. On tutaj nie może zostać.

GÓRSKI — Ja bym go nie zostawił.

URSZULA — A co by pan zrobił?

GÓRSKI — Myślałem, że jutro, przez swoje kontakty, postaram się go gdzieś sprzątnąć.

URSZULA — To już może być za późno. Pan wie, co zrobili przed paroma dniami?

GÓRSKI — Co?

URSZULA — Znaleźli w szynku zabitego żołnierza. Ktoś go wykończył po pijanemu w bójce. W każdym razie wszystkich mężczyzn w okolicy...

GÓRSKI, z malowniczym ruchem ręki. — Tak?

URSZULA — Nie, mówią że pod karabin maszynowy... Do tego nie wolno dopuścić. Nie mówiąc o tym, że my... że u nas...

GÓRSKI — My! u nas! pani znówu tylko o sobie.

URSZULA, puściwszy to mimo uszu. — Kiedy trudno. Nie może zostać!

GÓRSKI — mogę go zabrać na plecy i...

URSZULA — I gdzie pan pójdzie? W kierunku rzeki nie można, w nocy tam najczęściej patroli. A na ulicy pana złapią... Nie. Muszę o tym pomyśleć. Niech pan idzie tymczasem do kuchni i siądzie za kre-

densem. — Górski idzie do kuchni i zatrzymuje się w progu. — Niech pan weźmie baranicę. I proszę tam nie palić.

GÓRSKI — Wiem, mówiła już pani.

URSZULA — Ja może jeszcze później przyjdę. Muszę się tylko kogoś poradzić.

GÓRSKI — Chce pani powiedzieć dziadkowi?

URSZULA, patrząc na skulonego za pianinem Swidrzyńskiego. — Nie. Dziadkowi nie trzeba mówić... — Górski wychodzi. Wtedy Swidrzyński ostrożnie wysuwa się zza pianina.

URSZULA, cicho. — Słyszałeś? Leży między grządkami. Może zakopać?.

SWIDRZYŃSKI, potrząsając głową. — Nie damy rady, bo zauważą. — Rozmyślając. — Ale jutro z rana....

URSZULA — Co z rana? Przecież

Krygicr spaceruje u siebie w ogródku. Omówił się ze mną na randkę.

SWIDRZYŃSKI — To już twoja rzecz... Mówię, z rana przyjedzie Wilczyński furką. Z koksem.

URSZULA — Wywieziemy na furce?

SWIDRZYŃSKI — tak sobie myślę. — Milczenie.

URSZULA, nagle. — Dziadku, a dlaczego nie od razu wyszedłeś, kiedy zrozumiałeś, że to nasz?

SWIDRZYŃSKI — Bo babka twoja tego bardzo nie lubiła. Mówiła, że zawsze w takich wypadkach woli być sama.

URSZULA — Dziękuję... — Milczenie. — A czy naprawdę nic po mnie nie było poznać?.

SWIDRZYŃSKI, bez wielkiego przekonania. — Niece... Ale babka twoja była marmurowa. — Wznosząc palec do góry. — Zupełnie marmurowa.

Koniec aktu pierwszego.

OBRONCA SPRAWIEDLIWOŚCI



PETER FRAZER

prezes ministrów Nowej Zelandji, którego świetne, ożywione naprawdę demokratycznym duchem przemówienia wyróżniły się na konferencji w San Francisco. Pisał o tem w No. 24 "Tygodnika" Aleksander Bregman w artykule swym pod tytułem "Duch Banka"

PIĘKNY TALENT MALARSKI



KĄPIĄCY SIĘ

August Zamoyski, znakomity rzeźbiarz polski, zamieszkały od paru lat w Rio de Janeiro, ożenił się z młodą i doskonałą malarką brazylijską, panną Bellą Paes-Leme. Młoda pani Zamoyska zajmuje w sztuce brazylijskiej mocną pozycję jako artystka o niezwykłym talencie zarówno kompozycyjnym jak kolorystycznym, o solidnym rzemiośle i własnej artystycznej wizji. Niezwykłe zalety tego talentu składają się na twórczość bardzo zrównoważoną, daleką od tego co się nam wydaje egzotykiem brazylijskim i świadczącą właśnie o łączności nowej sztuki brazylijskiej z Europą.



KOMPOZYCJA FIGURALNA



MIASTECZKO BRAZYLIJSKIE

Obrazy Belli Paes-Leme- Zamoyskiej



KARNAWAŁ NA PRZEDMIEŚCIU

To czyni bardzo brazylijskie pejzaże i sceny rodzajowe Belli Zamoyskiej szczególnie nam bliskimi i dają nam odczuć mocno i prawdziwie niebywałe piękno i urok tego cudownego kraju. Pani Bella Zamoyska studjowała w Paryżu—ale jak samą twierdzi najwięcej ząwdzięcza swemu brazylijskiemu mistrzowi Pedro Correia de Aranjó. Niektóre jej prace zakupione zostały do muzeów amerykańskich. Pani Zamoyska nauczyła się kochać Polskę, poznała jej sztukę, zbliżyła się z wielu Polakami i prowadzi w Rio de Janeiro dom naprawdę artystyczny i naprawdę polski, będąc nietylko czarującą towarzyszką swego męża ale też najlepszą jego współpracowniczką.

W ZWYCIĘSTWO

Pieśń Armji Krajowej

Tempo marsza

Ten Bóg co Wi- słę pcha ku mo- rzu kie- ru- je ryt- mem na- szej
 Wis- to nikt fal nie za- wró- ci by się cof-nę-ły w źródła
 Kwi- Wro- go- wie dar- mo klę- ska gro- żą krew na- sza hym- nem
 gór. nikt nas w mar- szu nie od- rzu- ci i — dziem w przy- szłość
 wia- ry ży- wy brzmi. Płyn mur! Gdy gniew- ny się o- pie- ra los dum-
 niej- szy tyl- ko jest nasz głos zim- niej- szy tyl- ko jest nasz wzrok pew-
 niej- szy tyl- ko jest nasz krok w zwycię- stwo!

Ten Bóg, co Wisłę pcha ku morzu,
 Kieruje rytmem naszej krwi —
 Wrogowie darmo klęską grożą,
 Krew nasza hymnem brzmi.
 Płyn, Wisto, nikt fal nie zawróci,
 By się cofnęły w źródła gór, —
 I nikt nas w marszu nie odrzuci,
 Gdy idziem w przyszłość — żywy mur!

Gdy gniewny się opiera los,
 Dumniejszy tylko jest nasz głos,
 Zimniejszy tylko jest nasz wzrok,
 Pewniejszy tylko jest nasz krok
 W zwycięstwo!

Poznaliśmy ich wolność podłą
 W obozów grozie, w jamach cel,
 Ich twarze naznaczone zbrodnią —
 Gestapo i Enkawude!
 Czyż jedna nas powali klęska,
 I jeden nas przerazi cios?
 Nam z klęsk wyrasta moc zwycięska,
 A z mocy tej zwycięski los!

Gdy gniewny się opiera los...

Narody wolne! Wasze prawa
 My osłaniamy piersią swą,
 Dziś wspólna nam się dzieje sprawa
 Na chwałę wolnym świata dniom.
 My w waszych bitwach się bijemy,
 Wy z naszą walką łączcie się,
 Na chwałę świętym prawom ziemi,
 Co wolna wolnych ludów chce!

Gdy gniewny się opiera los...

STEFAN P. MIERZWA

“POLONJA W AMERYCE, DZIEJE I DOROBEK” DR. KAROLA WACHTLA

Jak trudno było autorowi książkę tę obiektywnie napisać — bo sam w dziejach Polonji tej brał czynny udział przez ostatnie mniej więcej 40 lat — tak i mnie trudno jest dać obiektywną książce tej ocenę, ponieważ znam autora od paru dziesiątek lat i zawsze ceniłem wysoko jego talent literacki oraz nigdy nie gąsnący młodzieńczy zapał.

Dzieje Polonji Amerykańskiej, począwszy od pierwszej większej grupy emigracji ekonomicznej Ks. Moczyłgęby, liczą się już prawie na sto lat, na okres czterech pokoleń. Mimo różnych wykrzykników na temat liczebności i ważności Polonji Amerykańskiej, nie doczekaliśmy się jeszcze ani jednej gruntownej, syntetycznie całość ujmującej historii tej Polonji. Pionierska praca śp. Księdza Kruski, jego “Historia”, podaje raczej wiązanek materiałów niż syntetyczną całość jest pozatem. Już mocno przestarzała. Gruntowne nader starannie opracowane studia p. M. Haimana o naszej przeszłości polskiej w Ameryce, są tylko przyczynkami — w głównej osnowie natury biograficznej. Wprost bezcenne przyczynki, ale tylko przyczynki a nie całość. Było wprawdzie kilka prób scharakteryzowania Polonji Amerykańskiej w formie literackiej lub w formie wrażeń i refleksji, ale na ujęcie całości nikt się dotychczas nie porwał. “Polonja w Ameryce — Dzieje i Dorobek” Dra. Karola Wachtla ma być właśnie tą kompletną historją i syntezą całości.

Wprawdzie Dr. Wachtl poruszył prawie wszystkie ważniejsze zjawiska, sprawy i zagadnienia “polonijne”, ale ilość poruszonych tematów jeszcze nie stanowi ani całości ani syntezy. Zbliżone jest to dzieło jego do historii Polonji w Ameryce w większym stopniu niż którakolwiek inna dotychczasowa próba, ale nie jest historją w pełnym tego słowa znaczeniu. Są to raczej szkice historyczne, wrażenia i refleksje — z przymiotnikami **wysoce osobiste** refleksje. Poszczególne rozdziały mają różną wartość informacyjną — są rozdziały wartościowe i rozdziały o względnej wartości. Najbardziej obiektywne części książki znajdują się w dopiskach, gdzie autor podaje fakty bez osobistej, subiektywnej interpretacji.

Książkę tę przeczytałem z wielkim zainteresowaniem od deski do deski — z wielkim zainteresowaniem chociaż nie bez irytacji od czasu do czasu. Ograniczę się do za-

notowania dwóch, moim zdaniem, stron ujemnych i dwóch dodatnich. Zdają sobie jednak sprawę z tego, że nawet te strony ujemne mogą stanowić dla pewnych ludzi cechy dodatnie.

1. Nie podoba mi się styl. Styl ciężki, archaiczny, biblijny, w strukturze zdań i w powikłanym sposobie wyrażania myśli do niemieckiego podobny. Ktoś powiedział o stylu niemieckim: poco wyrażać myśli jasno i prosto jeżeli można wynaleść sposób więcej skomplikowany. Oto styl Dra. Wachtla. Może to styl swowolny, wysoce literacki, ale dzięki temu czyta się książkę bardzo ciężko. “It is very hard on the reader”.

2. Nie podoba mi się brak historycznej obiektywności i ta niepewność, czy to pisze Polak z Polski dla starej emigracji już wymarłej czy wymierającej, czy też Amerykanin polskiego pochodzenia dla informacji nowych pokoleń. Autor nie mógł jakoś stworzyć syntezy Polaka i Amerykanina. Przemawia raz jako Polak, potem jako Amerykanin — chociaż ta rola Amerykanina jakoś zgrabnie nie wychodzi bo to przecież Polonus całą gębą. Jako Polak “starej daty”, Polonję Amerykańską dzieli na dwa nierówne obrazy: po jednej stronie jest praca, ofiarność, patriotyzm, wszystkie tylko szlachetne pobudki — a po drugiej stronie wszystko odwrotnie. Tak jednak zdaje się nie było. Mieliśmy dobrych Polaków

o różnych zapatrywaniach politycznych, społecznych czy religijnych, którzy sprawie polskiej chcieli służyć i jak mogli służyli.

Dodatnie strony:

1. Jest to z pewnego punktu widzenia dzieło pomnikowe. Jest to pomnik pewnej mentalności polsko-amerykańskiej z okresu pierwszej wojny światowej aż do wybuchu obecnej wojny — z pierwszych 39 lat obecnego stulecia. Wszystkie nasze wady i zalety tej mentalności — a jest w niej, moim zdaniem, więcej zalet niż wad — są tam ujęte i zamknięte dla przyszłych historyków. Jest to synteza mentalności pewnej epoki. Pewne specyficzne polskie cechy pozostaną na długie pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia, ale typ Polaka Amerykańskiego z wyżej wspomnianego okresu już przemija i poszedłby w zapomnienie gdyby nie autobiograficzne dzieło Dra. Wachtla.

2. Mimo braku obiektywności, jest to pozycja bibliograficzna, z którą każdy przyszły historyk Polonji Amerykańskiej będzie musiał się zapoznać. Nie tylko przyszły historyk, ale każdy uświadomiony Polak Amerykański winien ją już teraz przeczytać.

Książkę *Polonja w Ameryce* można nabyć po cenie \$5.00 ze egzemplarz pisząc bezpośrednio do autora na adres: Dr. Karol Wachtl, 3022 Richmond Street, Philadelphia 34, Pa.

CZYTAJCIE NOWĄ KSIĄŻKĘ

KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO

“POBOJOWISKO”

Jest to pomnik literacki ku czci żołnierzy polskich,
którzy tak po bohatersku walczyli z Niemcami
w kampanji wrześniowej.

•
Ilustracje

ZDZISŁAWA CZERMAŃSKIEGO

•
NAKLAD “ROY PUBLISHERS”

Cena — \$2.50

WACŁAW GRUBIŃSKI

O KAROLU IRZYKOWSKIM

W czasie powstania warszawskiego zwinął — nie wiem czy z bronią w rękę — najgłośniejszy nasz krytyk literacki ostatniego dwudziestolecia, Karol Irzykowski. Był on człowiekiem starym, ale nie zdziwiłoby mnie, gdybym się dowiedział, że chwycił za karabin, bowiem naturę miał porywającą choć z zawodu był analitykiem, myślicielem, więc kon-
emplotorem.

Podstawą jego krytycyzmu była — powiem paradoksalnie — naiwność. Nie wstydził się nie wiedzieć. Rozumowanie zaczynał od — nierozumności. Szukał najostateczniejszej odskoczni rozumowania, czyli jego początku, innymi słowy — zasady. Prazasady! Oczywiście, że z prazasadami jest zawsze ten sam kłopot i sprawa musi być rozwiązana zawsze tak samo. Spinozowskie określenie Boga zamyka się w formule: "substancja, będąca sama sobie przyczyną". Formuła święta, rozumem nie do ogarnięcia. Ale bez niej nie można ruszyć dalej. Urodzony metafizyk, Irzykowski, musiał przeżywać taki sam start psychiczny w poszukiwaniu oparcia dla swojego krytycyzmu. Nie zupełnie jestem pewny czy to oparcie znalazł. Ale go szukał. Odczuwał, jak Descartes, potrzebę najpierw "dowiedzenia" sobie, że istnieje, i dopiero po tym wziął się do rozpatrywania istnienia. Podobnie do Kartezjuszowskiego dogmatu "myślę, więc jestem" Irzykowski zdawał się przypuszczać, albo raczej dogmatyzować, iż wiedza jest wynikiem niewiedzy. Co nie zupełnie jest pewne. Wie się coś nie dlatego, że się tego czegoś nie wie. Być przeświadczonym, że z ciemności wynika światło, oznacza postawę psychiczną. pełną dziecięcej świeżości, naiwności. Irzykowski był "naiwny" w przeciwstawieniu do "spryciarza" Boya-Żeleńskiego. (Naiwny nie znaczy głupi, spryciarz nie znaczy mądry). Jego rozumowania krytyczne roją się od wyznań, na które się usmiechamy.— Dziwna rzecz! jego analiza krytyczna nieraz prowadzi do gmatwaniny. Na mniejszą skalę da się o Irzykowskim powiedzieć, co powiedziano o Wolterze: chaos jasnych myśli.

Otóż, bynajmniej nie mam pewności, czy Irzykowski znalazł swoją prazasadę. (Wyżej przypisany Irzykowskiemu dogmat o świetle, wynikającym z ciemności, jest moją arbitralną dowolnością). Przypominam sobie, że zaczepiony przez kogoś z młodych pisarzy o wyłuszczenie swojego "światopoglądu", Irzykowski się rozgniewał i dał interpellantowi szorstką odprawę w tym sensie, że jest nie-

przyzwoitością zagiądanie komuś do duszy, i że o swoim pogądzie filozoficznym niema zamiaru pisać, ponieważ nie zamierza nikogo dopuszczać aż do takiej intymności! Ciekawi będą się mogli dowiedzieć z teki pośmiertnej Irzykowskiego. Albo raczej nigdy się nie dowiedzą, bo w zniszczonej Warszawie z pewnością jest zniszczona i ta teka. Jeśli jej nie zniszczyli na początku wojny naukowo drapieżni okupanci, rewidujący i rabujący nie tylko publiczne biblioteki i muzea, ale i prywatne księgozbiory, resztę warszawskich dóbr kulturalnych porzuciła w gruzach walka w czasie powstania.

Teka Irzykowskiego niewątpliwie zawierała wiele cennych przyczynków do współczesnej twórczości literackiej. Irzykowski kolekcjonował artykuły na pewne tematy, zbierał wycinki pod pewnym kątem widzenia, gromadził listy, otrzymywane od pisarzy, zapisywał co się działo na posiedzeniach Akademii Literatury i, zdaje się, prowadził dziennik. Był dziecinnie wrażliwy, jak uczeń obraźliwy i po studencku kłótlivy. Wydawało mu się, że jest osaczony przez ludzi perfidnych i pisał studia o perfidji. Może z tego powodu, że się jakaś, wszystkich podejrzewał o złośliwe ustosunkowanie się do niego. Podejrzliwość była drugą jego naturą. A trzecią jego naturą była zazdrość, do której otwarcie się przyznawał nawet w swoich szkicach literackich. Zazdrościł rozgłosu Żeromskiemu, Strugowi i innym i napisał studjum pod tym właśnie kątem widzenia: dlaczego oni są sławniejsi niż ja, który jestem od nich inteligentniejszy? Ale jednocześnie Irzykowski był naturą szlachetną: oddawał sprawiedliwość (swoją sprawiedliwość) i bił się w piersi a nawet wybuchał żarliwością w naprawianiu błędów, popełnionych na obszarze krytyki. Myślę, że nosił w sobie (mówiąc po freudowsku), dwa kompleksy: manję wielkości i manję małości. W świecie polskich beletrystów, przeważnie mało czytających, i wielu krytyków, przeważnie dyletantów, widział się zasobniej od nich wyposażonym w lekturę filozoficzną i to mu dawało dobre o sobie mniemanie; ale że się jakaś i że jego twórczość baletrystyczna i dramatopisarska, albo słaby budziła oddźwięk wśród publiczności ("Pałuba") albo nawet narażała go na drwiny, jak to miało miejsce podczas lwowskiego przedstawienia "Dobrodzieja złodziei" (komedji tej nie dograno do końca), więc czuł się upokorzony. Gniewało go, albo raczej złościło, że go nie doceniano, jako

krytyka, i uważał się za skrzywdzonego, jako dramaturg. I właśnie ten element złości uczynił go krytykiem bardzo czytany, można by nawet powiedzieć, najślawniejszym krytykiem współczesnym w Polsce.

Miał on swoje "hobby" i miał swoje "phobie". Do jego hobby należał Stefan Grabiński, z którego Irzykowski usiłował zrobić znakomitość. Że mu się to nie udało, nie jest jego winą. Nie przysięgłbym, zresztą czy mu się udało wmówić trwale nawet w samego siebie, że w Stefanie Grabińskim był materiał na polskiego Edgara Poe, a choćby tylko na Erckman-Chatrjana. Fobji miał sporo. — Między innymi coś w rodzaju urazy żywił do poezji lirycznej. Drażniło go, że liryka podbija serca samym swoim głosem, tj. dźwięcznością i rytmicznością z wyraźnym nieraz pominięciem tak zwanego sensu rozumowego. Przed Irzykowskim skarżył się prawie na to samo już Nietzsche, mówiąc, że podskoki i lansady rytmiczne w wierszu zastępują całkowicie, lub częściowo, myśl w poezji, przez co poezja jest niebezpieczna. Kto wie, czy nie tędy wiedzie droga do Wyspiańskiego. "Poezjo precz! Jesteś tyranem!"

Nazwałem Irzykowskiego urodzonym metafizykiem. Aby uniknąć nieporozumienia, muszę dodać, że ten metafizyk wychowywał się na filozofji materialistycznej. Dlatego pisma Irzykowskiego wprawiają czytelnika w zakłopotanie. Z dziedziny myślenia, że je tak tutaj nazwę, trzywymiarowego, Irzykowski chętnie wkracza w czwarty wymiar, który ma dla niego nieprzemyślany urok. Irzykowski jest wrażliwy na "objawienie", ale nie brak mu również przywiązania do "eksperymentu". Za nic by się nie wyrzekł "materialistycznego pojmowania dziejów", ale mu to pojmowanie nie wystarcza i wielką wymowę ma dla niego "wiatr od morza" metafizycznego. Irzykowski często jest z sobą skłócony. To nie ułatwia czytania jego esejów.

Za to niezmiernie pociągającą stroną jego krytyk jest jego pasja wyjaśniania zjawisk literackich. Irzykowski pragnie dotrzeć do dna każdego utworu, który omawia, przyczem zdarza mu się to dno znaleźć o wiele głębiej, niż jest umieszczone rzeczywiście. Ale w paroksyzmie złości nieraz omylnie zadaje autorom cięsy niezasłużone, tak samo, jak nieraz mu się zdarza rozdawać niezasłużone pochwały. Bo Irzykowski jest nie tylko krytykiem subiektywnym (w rezultacie, nie w zamierzeniu), ale wręcz

krytykiem nieobliczalnym. Do bezprezjonalnego farsiatka francuskiego gotów jest przyłożyć miarę krytyczną Buonarottiego, a w komedji i filozoficznym salto mortale może nie dojrzeć nic ponad błazeństwo. Nie było krytyka kapryśniejszego, niż Irzykowski. Można by o nim powiedzieć, że to był krytyk przekorny, zaczepny, namiętnie myślący na fali swych zmicznych humorów.

Odegrał dużą rolę, ponieważ jak żaden inny krytyk polski ostatniego

ćwierćwiecza, wprowadzał do esejów literackich myśl filozoficzną, rozumowanie filozoficzne, a przez swój talent pisarski ciągnął po krzywych swoich dociekań esseistycznych przeciętnego inteligenta polskiego, lękającego się jak wiadomo, filozofji. — Czytało go się zawsze z zaciekawieniem, ponieważ zawsze miał do powiedzenia coś interesującego oryginalnego, złośliwego lub dowcipnego.

Że nie przeżył wojny, wielka to dla nas strata. Przy odbudowywaniu dóbr

kulturalnych, zniszczonych, lub rozproszonych, przez tę najbardziej barbarzyńską z wojen, musimy pamiętać o odbudowaniu i dzieła Irzykowskiego. Wiele jego studjów i artykułów znajduje się w czasopiśmie: trzeba je zebrać i wydrukować w książkowym wydaniu, razem z nowym wydaniem jego książek, tu i ówdzie chyba ocalałych. Irzykowski jest bardzo poważną pozycją literatury polskiej, pierwszej połowy dwudziestego wieku.

WILLIAM BRIGHT

Sowiecka Administracja Okupacyjna

W wyniku wspianiałych działań Armji Czerwonej teren Polski został uwolniony od Niemców. Ziemie polskie zostały natomiast opanowane przez skomplikowaną sowiecką okupacyjną administrację. Wojskowy charakter tej administracji, w związku z toczącymi się krwawymi walkami o Berlin i najżywotniejsze ośrodki gospodarcze niemieckie, miały by swoje uzasadnienie z punktu widzenia ogólnie aljanckich interesów rozbicia Niemiec, a więc tem samem i z punktu widzenia interesów narodu polskiego, gdyby nie to, że już od pierwszych chwil okupacja ta nosi charakter bardzo specjalny. Polega on na tym, że okupacja ta nie ma na celu tylko i wyłącznie względów strategicznych i czysto wojskowych, poddyktowanych interesami frontu, lecz zmierza do zorganizowania terenu pod względem przedewszystkiem politycznym, a pozatem i społecznym i gospodarczym, pod kątem widzenia dalszych długodystansowych, już na okres pokojowy obliczonych interesów sowieckich.

Okupacja ta nie jest bowiem okupacją czysto wojskową. Sfera działań i kompetencja dowództw i czynników czysto wojskowych jest stosunkowo bardzo niewielka terytorjalnie i ograniczona kompetencyjnie. Obejmuje ona ściśle biorąc wąski pas przyfrontowy działań w ramach dywizyj, rzadziej armji. Już bowiem dowództwa armji, które w wojsku sowieckim są niewielkie, znajdują się bardzo często na terenie objętym przez t. zw. administrację. Pomiędzy administracją wojskową i administracją policyjno-cywilną zachodzą ogromne różnice metod. Armja czerwona od pierwszych chwil wkroczenia swego na ziemie polskie w początkach 1944 r. na szczeblu zarówno taktycznych, jak i operacyjnych dowództw rozumiała doskonale potrzebę współdziałania z ludnością polską, z polskimi organizacjami podziemnymi, a przedewszystkiem z liczną, doskonale zorganizowaną

zwaną i wyowiczoną, przez kadrowych oficerów kierowaną, polską Armją Krajową. Armja Krajowa polska była jedyną w Europie, zajętej przez Niemcy, regularną armją, która stanowiła zarówno pod względem prawnym, jak i organizacyjnym naturalne przedłużenie polskiego wojska przedwojennego. Dowódcy sowieccy doceniali ten charakter wojska polskiego, utrzymywanego w podziemnych ogromnym wysiłkiem i poświęceniem całego narodu, współdziałali z nim, powierzali mu cały szereg odpowiedzialnych zadań. W wyniku tego współdziałania A. K. dokonała całego szeregu ważnych operacji, znakomicie ułatwiających sukcesy sowieckie, jak np. zajęcie Wilna, operacje na Wołyniu i Polesiu, walki o Lwów i inne. Nawiasem mówiąc taką wielką operacją A. K. miało być powstanie w Warszawie w sierpniu i wrześniu 1944 r. zarządzone w związku z bezpośrednim zbliżeniem wojsk sowieckich do Wisły i zapewnieniami władz sowieckich o szybkim przelamaniu frontu niemieckiego. Powstanie to miało ułatwić A. Czer. opnowanie najważniejszego węzła strategicznego w Polsce — Warszawy, która była by nie do zdobycia bez pomocy polskiej.

Dowódcy sowieccy traktowali A. K. po koleżeńsku i stosunki pomiędzy armją polską i sowiecką zapowiadały się zrazu dobrze. Również stosunek Armji sowieckiej do ludności wyzwolanych terenów, zarówno jeżeli chodzi o jednostki w całości, jak też, jeżeli chodzi o dowódców i szeregowych był naogół poprawny.

Sytuacja zmieniała się zasadniczo w miarę, gdy wojsko przesuwało się dalej na zachód i teren objęty zostawał przez administrację o charakterze cywilnym. Wbrew temu, co wyobraża sobie opinja brytyjska administracja ta nie jest bynajmniej polską, czy samorządową nawet, gdybyśmy chcieli potraktować t. zw. Tymczasowy Rząd Lubelski, jako na-

rodową polską reprezentację. Nie mówimy tu oczywiście o ziemiach położonych na wschód od linii Curzona, które Rosja przyznała sobie, bez odwoływania się do zgody ludności miejscowej. Na tych ziemiach bowiem Rosja uważa, że winna działać ta administracja sowiecka, która była tam wprowadzona przymusowe następstwo umowy niemiecko-sowieckiej z października 1939 r. o rozgraniczeniu państwowych interesów sowieckich i niemieckich. Na tych terenach Rosja robi od samego początku uwolnienia ich od Niemców co jej się tylko podoba. Wprowadza w dalszym ciągu przymusową kolektywizację, stosuje masowe deportacje i egzekucje, stosuje wywłaszczenia ze wszelkiej, nawet drobnej własności prywatnej, jeżeli chodzi o t. zw. warsztaty pracy. Trzeba stwierdzić, że prześladowania te są w chwili obecnej w znacznie większym stopniu skierowane przeciwko Polakom, aniżeli to było przed uderzeniem Niemiec na Rosję w czerwcu 1941 r. Resztki inteligencji polskiej są wywożone do Rosji, podobnie, jak i fachtowcy robotnicy. Pozwolenia na wyjazd do prowincji objętych przez rząd t. zw. Tymczasowego Rządu Lubelskiego udzielane są Polakom z wielkimi ograniczeniami i po starannem rozpatrzeniu każdego indywidualnego wypadku przez policyjne władze sowieckie. Można powiedzieć bez przesady, że tylko małowartościowy państwowy, politycznie i społecznie element otrzymuje pozwolenie na wyjazd na zachód. Toteż z tych prowincji, które rząd sowiecki ogłosił już jako sowieckie, różnemi drogami dochodzą najbardziej rozpaczliwe wiadomości o losie Polaków. Na tych też terenach członkowie b. A. K. wszyscy faktycznie biorąc, są jakby wyjęci z pod prawa. Mimo to, że wraz z Armją Czerwoną bili się oni z Niemcami, uważani są przez administrację sowiecką za agentów hitlerowskich bądź kapitalistycznych i sto-

suje się do nich zasadę bezwzględnej deportacji do Rosji, a w stosunku do dowódców i bardziej czynnych organizatorów stosuje się egzekucje bez sądu. Członkom b. A. K. z reguły odmawia się prawa wyjazdu na zachód do ziem objętych przez rząd lubelski i traktuje się ich jako wrogów Związku Sowieckiego. Trzeba stwierdzić, że władze sowieckie nie kierują się przytem żadnymi względami natury społecznej, traktując jednakowo bezwzględnie inteligencję, robotników, burżuazję i chłopów. Niezależnie od wywożenia b. członków A. K. rozpoczęto ostatnio, widocznie w związku z uregulowaniem warunków komunistycznych na tyłach frontu, wywożenie ludności polskiej w wieku od lat 14 do 70, przyczem według posiadanych wiadomości około 20 procent stanowią kobiety. Dotyczy to w pierwszym rzędzie prowincji lwowskiej i wołyńskiej. Ale identyczne wiadomości nadechodzą również i z prowincji wileńskich a nawet z terenu samej Litwy. W krajach bałtyckich bowiem stosowana jest ta sama metoda. Nie dziwnego, że zagrożona zupełnie zagładą ludność polska wszelkimi możliwymi drogami błaga o pomoc, rozumując zupełnie słusznie, że jeżeli polityka sowiecka w tym kierunku będzie w dalszym ciągu niekrepowana, to za parę miesięcy na terenach, które Rosja uważa już za sowieckie nie pozostanie zupełnie elementu polskiego.

Inaczej trochę przedstawia się sytuacja na ziemiach, które objęte są rzekomą kompetencją Tymczasowego Rządu Lubelskiego. Proces sowieetyzacji i tutaj następuje coraz gwałtowniej, ale jest on w pewnym sensie zakamuflowany. W obecnym etapie odbywa się on pod osłoną powołanych do życia przez ten tymczasowy rząd lubelski władz terenowych i biurokracji polskich, które w gruncie rzeczy jednak schodzą w praktyce do roli figurantów, a właściwą władzę sprawują urzędnicy i administracja sowiecka. Ogromną rolę w tej dziedzinie odgrywają konsekwencje znakomitego dekretu sowieckiego z dn. 22.6.44. o przyznawaniu obywatelstwa polskiego wszystkim tym obywatelom sowieckim, którzy biją się w t. zw. wojsku polskim, które nb. w obecnej chwili dowodzone jest przez generałów sowieckich odkomenderowanych do wojska polskiego, którym z tego tytułu też przyznano obywatelstwo polskie. Minister wojny rządu lubelskiego gen. Rola-Żymierski faktycznie nie ma żadnego bowiem głosu, jeżeli chodzi o armję polską walczącą i rola jego sprowadza się wyłącznie do dostarczenia rekruta i przygotowania kadr podoficerskich i młodych oficerów najniższych stopni. Oficerowie sowieccy po przejściu krótkiego stażu w wojsku polskim i

otrzymawszy tą drogą obywatelstwo polskie odkomenderowani są następnie na stanowiska w administracji. Taką była np. kariera obecnego wojewody śląskiego, generała Zawadzkiego lub b. prezydenta i wojewody warszawskiego gen. Spychalskiego. A obok tego odkomenderowuje się do urzędów polskich ogromną ilość urzędników sowieckich jako łącznikowych, ekspertów, przedstawicieli sowieckich władz itd., którzy sprawują faktyczną władzę. Nawet w sprawach sądowych, przy przesłuchiowaniu t. zw. kolaborantów z Niemcami występują z reguły tacy rzeczoznawcy sowieccy, którzy faktycznie kierują przesłuchaniem, czy przewodem sądowym. Byłoby to nie do pomyślenia np. we Francji, czy w Belgii, a nawet we Włoszech, gdzie wyzwolone narody same dokonują sądu nad kolaborantami. Pod pozorem walki z faszyzmem czy z nacjonalizmem polskim rzeczoznawcy ci tępią ogromną ilość wartościowego i nieskażonego politycznie takiego elementu polskiego, który wyraźnie stawiałby opór dalszemu procesowi sowieetyzacji. Ogromną rolę w tym pomaganiu władzom sowieckim niszczenia elementu polskiego odgrywa Polska Partja Robotnicza, która została zorganizowana przez sowieckie czynniki komunistyczne, jako partja z programem negatywnym, a nie pozytywnym. Partja ta ma na celu zniszczenie t. zw. nacjonalistycznej przeszłości polskiej i szerzy zupełnie chaotyczną demagogję społeczną, żerując na niewyrobionych społecznie elementach t. zw. lumpenproletariatu i nieświadomionej biedoty wiejskiej. W rezultacie takiego programu partja ta przeprowadza likwidację wszystkich elementów inteligencji polskiej, byłego podziemnego aparatu administracyjnego, sądowego, a nawet kulturalno-oświatowego, który mógłby

w przyszłości zorganizować się i przeciwdziałać /sowieetyzacji. Opierający się na P. P. R. aparat tymcz. rządu lubelskiego kierowany przez ukrytych lub jawnych urzędników sowieckich ma do swej dyspozycji wielką siłę policyjną. Są to, albo bezpośrednio działające oddziały sowieckiego NKWD, przebywające na terenie polskim pod pozorem konieczności zapewnienia bezpieczeństwa tyłom frontu sowieckiego i komunikacjom, albo też t. zw. Polski Korpus Bezpieczeństwa, oddziały policji politycznej zorganizowane i kierowane przez sowieckich instruktorów NKWD, którzy również otrzymali w tym celu obywatelstwo polskie. Stwierdzić trzeba, że drogą takiego nadawania obywatelstwa polskiego przybyłym ze Związku Sowieckiego funkcjonariuszom i wojskowym sowieckim, Polska już w tej chwili otrzymała conajmniej kilkanaście tysięcy nowych obywateli, którzy w dodatku z punktu, jako byli obywatele sowieccy, cieszą się ogromnym i wyłącznym zaufaniem władz sowieckich i właściwie stanowią podstawowy szkielet aparatu rządzącego obecnie Polską. Aparat ten pozostawia minimalną swobodę inicjatywy społecznej i gospodarczej obywateli polskich, a żadną już — politycznej. To też w rezultacie takiego stanu rzeczy sytuacja i na tych ziemiach polskich, do których Rosja sowiecka nie rości sobie jeszcze oficjalnie prawa mało odbiega od rzeczywistości na ziemiach położonych na wschód od linii Curzona. Motywując koniecznościami wojennymi i bezpieczeństwem frontu władze sowieckie i tutaj dokonują masowych aresztowań i deportacji, które z reguły obejmują najbardziej aktywny element polski. Wygląda na to, że władze sowieckie kierują się zasadą: "Kto z Polaków przez 5 lat potrafił stawiać opór Niemcom, mimo terroru walczył z nimi i nie poddał się, ten potrafi być niebezpieczny i dla władzy sowieckiej". To też wszyscy członkowie b. A. K., i administracji podziemnej, podziemni działacze społeczni i oświatowi, przywódcy ruchów politycznych, działacze posiadający związki społeczne lub kulturalne z Europą są bezlitośnie prześladowani, aresztowani, więzieni, deportowani lub rozstrzelani. Natomiast o dziwo! — w stosunku do elementów, które nie wykazywały należytej odporności wobec Niemców, jak np. do tych mało uświadomionych właścian i robotników czy inteligencji polskiej, która zgodziła się na zapisanie się na listę t. zw. Volksdeutsche, władze sowieckie postępują bardzo pobłażliwie, wyhodząc widocznie z założenia, że skoro, nie sprawiali oni kłopotu Niemcom, to nie będą również niebezpieczni i dla każdej polityki sowieckiej na tym terenie.

W POPRZEDNIM 24 (129) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Stanisław Stroński: Mistrze Moskiewscy; Jan Lechoń: Przypowieść; Jan Kucharzewski: Mickiewicz i Wielka Emigracja; Michał Choromański: Nowe Noce listopadowe; Wystawa Sztuki Polskiej w Detroit; Aleksander Bregman: Duch Banka; Jerzy Paczkowski: Sztuka jakich mało; Wacław Solski: W Łazienkach; Opinie i Zdarzenia.

OPINJE I ZDARZENIA

NATURALNIE ŻE "DUCH BANKA"

Tak straszny był upał przeszłego tygodnia, że nasz korektor, ociekający potem i nie wiedzący gdzie się ma schować przed potwornym zarem przepuścił ciężki błąd drukarski, który się zakradł do jednego z artykułów i to do tytułu, czyli stał się błędem podwójnym, gdyż był wydrukowany jak to się mówi, jak wół wielkimi literami. Nasi czytelnicy napewno odrazu go spostrzegli, gdyż nawet dziecko jako tako świadome rzeczy tego świata wie, że oczywiście nie "Duch Blanka" tylko "Duch Banka" pokazuje się w Mackbecie i tytuł artykułu Aleksandra Bregmana z naszego poprzedniego numeru jest więc naturalnie "Duch Banka" a nie "Duch Blanka".

Nasz zziązany i ledwo żywy od gorąca korektor bardzo czytelników przeprasza. Jest zresztą grubo ukarany, gdyż "Duch Banka" straszy go codzień w nocy i spać mu nie daje.

POTWORNÓŚĆ

Pp. Mikołajczyk i Stańczyk zjawili się na bankiecie, który wydany został przez pana Mołotowa na cześć "Delegacji rządu warszawskiego", nieszczęsnych Polaków z kraju i reprezentujących samych siebie przybyszów z Londynu. Ta wiadomość nabiera odpowiedniej wymowy, kiedy się zważy, że następnego dnia po owym bankiecie rozpoczął się w Moskwie najhaniebniejszy proces jaki zna historia, proces, oskarżający przywódców Polski Podziemnej o współpracę z Niemcami.

Kiedy panowie Mikołajczyk i Stańczyk zdecydowali się jechać do Moskwy i rokować z Mołotowem i jego warszawskimi figurami — pomimo, że aresztowani przywódcy polscy pozostawali w więzieniu, najwięksi co do natury ludzkiej pesymiści, cynicy nawet — przypuszczali, że panowie ci, współodpowiedzialni moralnie za pakt w Jałcie — jadą aby w Moskwie zażądać głośno zwolnienia spotwarzonych bohaterów i jeśli to wykonane nie będzie — oświadczyć, że niema wolnego Polaka, któryby w tych warunkach rozmawiał z Moskwą.

Wiadomość, że w chwili gdy bohaterów polskich zmuszano, domyślamy się jakimi środkami do wyznania nieprawdziwych i niepełnionych przestępstw, były premier polski i były minister polski ściskali ręce ich oprawców i pili wódkę ze zdrajcami

Polski, świadczy, że najwięksi pesymiści co do osób panów Mikołajczyka i Stańczyka byli jeszcze bardzo łatwowierni.

Moskwa — nie godziła się na rozmowy z panem Mikołajczykiem do chwili, w której okazywał on jeszcze gościnność i horcr. Udził jego w bankiecie z panem Mołotowem tłumaczy nam dlaczego Moskwa rozmawia z nim teraz Oto poprostu Sowiety uważają, że pan Mikołajczyk zrobi te-

raz absolutnie wszystko i dlatego może im być przydatny do zlikwidowania rządu londyńskiego, który jest jedyną wolną instancją polską, broniącą naszej niepodległości. Co używszy, wezmą się do samego pana Mikołajczyka, na bardzo dla nich prostej podstawie — że skoro ogłosili, że jego wice-premier współpracował z Niemcami, mogą powiedzieć, że pan Mikołajczyk musiał być też w to zamieszany.



Przeciw nieczystościom cery

HELENA RUBINSTEIN słynna znawczyni wszelkich kwestji kultury ciała, pragnie dopomóc Wam do pozbycia się brzydkich skaz, szpecących Waszą cerę. Podaje Wam w tym celu trzy podstawowe preparaty dla osiągnięcia oślniewającej urody.

BEAUTY GRAINS — ziarnka piękności, drobne ziarnka rozpuszczające się przy delikatnem tarciu, usuwają powierzchowne nieczystości cery. — 50c, \$1.00.

"WATER LILY LOTION" wyjątkowo skuteczny płyn leczniczy przeciw podrażnionej cerze. \$2.00, \$3.00.

MEDICATED CREAM — Krem Leczniczy — nałożyć wieczorem na podrażnione miejsca i zostawić przez noc \$1.00.

HELENA RUBINSTEIN

Do nabycia we wszystkich większych sklepach

JULJAN ŻAKOWSKI

Nieznane do wczoraj nazwisko, które dziś jest na ustach wszystkich. Pan Julian Żakowski, którego nieczekiwana propozycja Moskwy — w jeden dzień wyniosła z zupełnego cienia na sam przód politycznej sceny — bez wahań odrzucił ofertę niezgodną z honorem Polski i fatalną dla naszej sprawy. Pan Żakowski nie odchodzi przecież w ten sposób bynajmniej do cienia. Jego nazwisko będzie nazawsze zapamiętane i będzie nazawsze otoczone szacunkiem wszystkich Polaków.

NOWA KSIĄŻKA ZOFJI KOSSAK

Po wielkim sukcesie "Blessed are the meek" Zofji Kossak, który był od niepamiętnych czasów pierwszym istotnym tryumfem powieści polskiej zagranicą — "Roy Publishers" wypuściło w świat nowy tom świetnej autorki, stanowiący część wielkiego cyklu "Krzyżowców".

"Król Trędowaty" wyszedł po angielsku jako "The Leper King" w przekładzie p. F. S. Placzek (Kto to?). Jest to powieść bardzo głęboka i zarazem pasjonująca, możnaby powiedzieć, w najlepszym tego słowa znaczeniu sensacyjna. Wsparta sukcesem poprzednio wydanej — powinna mieć równe jej powodzenie. Najserdeczniej tego — nam wszystkim i wydawcom w szczególności życzymy.

"WOLNOŚĆ TRAGICZNA"

Zbiór poezji a raczej wielorodziałowy poemat Kazimierza Wierzyńskiego o Piłsudskim, jedna z najpopularniejszych przed wojną książek polskich "Wolność tragiczna" ukazała się nakładem "Białego Orła" w Rzymie.

Mimo bardzo ciężkich warunków wydawniczych tomik wydany jest nitylko starannie, ale bardzo pięknie. Na czarnej pęknie graficznie pomyslanej okładce jest fotografia Piłsudskiego — doskonale w tło wkomponowana.

"PORTRET KANTA" MICIŃSKIEGO

Bolesław Miciński, zmarły w czasie okupacji we Francji młody niezwykle obiecujący filozof i eseista pozostawił po sobie cały szereg zaczętych prac i parę rzeczy gotowych. Najważniejszą z nich jest "Portret Kanta", studjum, które miało być krytycznym i filozoficznym wyznaniem wiary zmarłego. Z innych rzeczy da się prawdopodobnie zrekonstruować odczyty Micińskiego o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu i Karolu Szymanowskim, podobno bardzo wnikliwe i oryginalne.



Po wyjściu z niewoli: generał Władysław Bortnowski i generał Bór-Komorowski

NOWE POEZJE CZESŁAWA MIŁOSZA

Czesław Miłosz, jeden z najdolniejszych poetów młodego pokolenia, który przeżył najazd niemiecki w Polsce napisał szereg wierszy świadczących o niezwykłym rozwoju jego talentu, wierszy o niezwykłej głębi i polocie poetyckim, które jak twierdzą ci co je czytali zostaną nazawsze w naszej literaturze. Wiersze te są w drodze do New Yorku i mamy nadzieję, niedługo zapoznać z nimi naszych czytelników.

JÓZEF CZAPSKI W PARYŻU

Józef Czapski mianowany został radcą Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Paryżu z powierzeniem mu szczególnej opieki nad propagandą i sprawami kulturalnymi. Czapski miał przed wojną jeszcze doskonałe stosunki w sferach intelektualnych Paryża, przyjaźnił się szczególnie z Jean Guehenno, Maritainem, Danielem Halevy.

Znajdzie napewno i teraz lepszą niż ktokolwiek inny drogę do pisarzy i myślicieli francuskich, a praca jego w Drugim Korpusie jest zapewnieniem, że potrafi rozwinąć też działalność organizacyjną wyjątkową. Jak dowiadujemy się — został też przydzielony do Ambasady znany filozof Ks. Augustyn Jakubisiak, który w czasie okupacji prowadził bardzo żywą pracę zarówno patriotyczną jak naukową.

LISTY DO REDAKCJI

Pan Kaarel Pusta były estoński minister spraw zagranicznych, były długoletni poseł Estonji w Warszawie i w Paryżu, obecnie zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, przesyła nam list następujący:

My Dear Mr. Lechoń,

I read with deep concern in the last issue of your magazine that Mme Anna de Montfort had to pay with her life her love for Poland and Freedom.

The Montforts had numerous friends in France, Poland, and the Baltic States. The ultimate sacrifice of Annie Montfort shall remind them all of the cause which dominated her life and ardent soul.

Will all my heart I share your grief and your sympathy with our friend Henri de Montfort

Truly yours,

Kaarel R. Pusta.

POLSKI PENSJONAT — RENA FARM

Idealne miejsce do spędzenia wakacji w malowniczych górach "Berkshire". Dobra kuchnia, nowoczesny komfort, różne sporty. Dojazd w 3½ godziny z Grand Central Station, New York do stacji East Chatham, N. Y., skąd 5 minut do Rena Farm samochodem pensjonatu. Zgłoszenia przyjmuje: Irena Chełmicka, Rena Farm, East Chatham, N. Y.